

Kronika

Jerzy Pelc

Spojrzenie na minione sześćdziesięciolecie: tajne studia, profesorowie filozofii, postawy wobec władz, instytucje naukowe.

Odpowiedź na pytania Jacka J. Jadackiego

Pytanie 1. W jakich okolicznościach Pan Profesor wstąpił na uniwersytet podziemny? Na ile był on instytucją tajną? Na czym polegała konspiracja. Czy Niemcy o jego istnieniu nie wiedzieli, czy też wiedzieli, ale je tolerowali? Czy uczestnictwo w zajęciach było płatne?

W roku szkolnym 1941/1942, poprzedzającym egzaminy maturalne, często rozmawialiśmy z kolegami na temat wyboru kierunku studiów wyższych. Wybór ten był trudny, bo interesowaliśmy się zarówno przedmiotami humanistycznymi, jak matematyką i naukami przyrodniczymi. Spośród członków naszego kompletu tajnego w podziemnym Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie, trzech (Jerzy Kroh, Klemens Szaniawski i ja) przerabiali równolegle kurs dwóch typów liceum, humanistycznego i matematyczno-fizycznego, by następnie w maju zdać maturę humanistyczną, a w połowie czerwca — matematyczno-fizyczną. Z wszystkich przedmiotów mieliśmy w ciągu całej nauki szkolnej oceny bardzo dobre i właściwie w żadnym najmniejszych trudności, które by nas mogły skłonić do uniknięcia tego czy owego kierunku studiów wyższych. Ja sam od maja 1940 r., tj. od czwartej gimnazjalnej, uczyłem prywatnie matematyki i łaciny, polskiego i historii — zrazu indywidualnych uczniów (pierwszym z nich był syn pieśniarza Warszawy, Mieczysława Fogga), a później kilkusobowe zespoły. Nie uczyłem biologii, chemii ani geografii, bo mniej lubiłem te przedmioty. I to było jedyne ułatwienie w wyborze studiów — negatywne, ale niepełne, bo

mimo słabszych zainteresowań przyrodniczych jednak się wahałem do ostatniej chwili, czy nie pójść na medycynę. Rozważanie różnych możliwości i niezdecydowanie trwało aż do końca lata 1942 r.

Rzecz znamienna, że w tym rozważaniu żaden z nas nie brał pod uwagę przyszłego zawodu; nasze myśli i wyobrażenia dotyczyły wyłącznie tego, co będziemy studiowali. Mogłoby się wydawać, że tę krótkowzroczność wywoływała sytuacja wojenna: nie robiło się wtedy planów życiowych na długą metę. Przy tym perspektywa zdobycia pracy umysłowej odpowiadającej kandydatom, którzy ukończyli studia wyższe, rysowała się wówczas jako mało realna. Wszak okupant hitlerowski wyznaczył Polakom rolę niewolników przeznaczonych do wykonywania ciężkiej pracy fizycznej, niegodnej rasy panów. Dziś wiem, że to wyjaśnienie jest błędne, bo i teraz, w zupełnie przecież innych warunkach, młodzież, starając się dostać na wyższe uczelnie, rzadko bierze pod uwagę przyszłą pracę zawodową; raczej myśli o tym, żeby to czy tamto studiować, a jeszcze częściej — żeby w ogóle coś studiować, wszystko jedno co. Motywem wyboru bywa przy tym nierzadko chęć uniknięcia nie lubianego przedmiotu: np. żeby nie było matematyki albo żeby nie trzeba było się uczyć języków.

Ale wróćmy do roku 1942. Nasi rodzice rozmyślnie nie starali się wpłynąć na decyzję w sprawie wyboru studiów. Co do mnie, pomógł mi ojciec mego kolegi szkolnego, Tadeusz Miłobędzki, profesor chemii na Politechnice Warszawskiej. Skierował mnie do profesora Władysława Tatarkiewicza. O pamiętnej wizycie u niego, o spotkaniu, które miało zaważyć na moim wyborze studiów i pracy, pisałem już kiedyś¹. Profesor Tatarkiewicz, dowiedziawszy się, co mnie interesuje i dlaczego jestem niezdecydowany, poradził mi, żebym „tak jak kolega Bogdan Suchodolski” studiował równolegle polonistykę i filozofię, „bo jak widać, daje to dobre rezultaty”. To porównanie podniosło mnie we własnych oczach. Zacząłem szukać „kontaktów” na polonistykę i filozofię „ściśłą”, jak się ją wówczas nazywało (w sposób mimo wszystko mniej mylący, aniżeli gdyby ją tak nazwać dzisiaj).

Łatwo trafiłem do mieszkania pani Zofii Szymanowskiej, która z ramienia podziemnego kuratorium opiekowała się uniwersytecką polonistyką: przyjmowała zapisy, przydzielala studentów do poszczególnych kompletów, pobierała czesne (studia podziemne były płatne). Nie pamiętam dziś, kto mnie skierował do pani Szymanowskiej na ul. Kazimierzowską. Czy nie Jan Jeziorański, z którym uczęszczaliśmy w latach 1933–1936 do szkoły powszechnej przy Prywatnym Gimnazjum im. Mikołaja Reya?

Podziemna filozofia nie była tak zorganizowana jak znacznie większe studia polonistyczne. Nie miała sekretariatu studiów. Z każdym profesorem umawialiś-

¹ W książce *Z dziejów podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego*, „Iskry”, Warszawa 1961, s. 59. Przedruk w: Jerzy Pelc, *Wizerunki i wspomnienia*, Polskie Towarzystwo Semiotyczne, Warszawa 1994, („Biblioteka Myśli Semiotycznej”, t. 30), s. 16.

my się indywidualnie. Pamiętam wizytę u profesora Kotarbińskiego, w domu profesorskim przy ul. Brzozowej 10 czy 12, pokój z rozległym widokiem na Wisłę i Pragę, meble z jasnego drewna i obrazy na ścianach, wśród nich akwarele namalowane przez gospodarza. Pamiętam też wizytę u prof. Suchodolskiego w jego mieszkaniu przy ul. Słonecznej. Były to spotkania na pół konspiracyjne, w cztery oczy. Albo się pukało w umówiony sposób, albo wymieniało prawdziwe nazwisko lub pseudonim osoby, która mnie skierowała, albo pytało się o gospodarza w sposób, który zarazem był hasłem. Nie notowało się adresów ani terminów.

Niemcy musieli wiedzieć o tajnych kompletach szkolnych, uniwersyteckich i politechnicznych. Była to — zwłaszcza w Warszawie — akcja masowa. Uczyły się tysiące młodzieży. Niemożliwe zresztą, by Gestapo po nakryciu jednego czy drugiego kompletu naiwnie myślało, że były to wyjątkowe wypadki jednostkowe. Przypuszczam, że okupant tolerował konspiracyjne nauczanie, wychodząc z założenia, iż lepiej, żeby młodzież zużywała czas na tego rodzaju zajęcia niż na konspiracyjne ćwiczenia wojskowe. Owa połowiczna konspiracyjność podziemnego nauczania polegała na tym, że zeszyty i podręczniki szkolne nosiło się w okładkach z nazwami przedmiotów wykładanych w legalnych szkołach zawodowych, że kolejne lekcje czy wykłady przeważnie odbywały się w różnych mieszkaniach, że uczniowie czy studenci po zajęciach opuszczali lokal pojedynczo w pewnych odstępach czasu. Ale oczywiście te środki ostrożności okazałyby się niewystarczające, gdyby władze okupacyjne postanowiły rozprawić się z tajnym nauczaniem.

To, że w odróżnieniu od podziemnej polonistyki filozofia nie była ujęta w ramy administracyjne pociągało za sobą dwojakie skutki. Oto komplet nie stanowił jednostki organizacyjnej tej samej na różnych zajęciach i złożonej ze studentów tego samego roku studiów. Spotkania z każdym z profesorów odbywały się w odmiennym składzie, w dodatku zaś w grupach zróżnicowanych pod względem zaawansowania w studiach: od studentów początkujących po magistrantów. Tymczasem polonistyka zbierała się pod koniec okupacji, w roku akademickim 1943/1944, w klasie szkolnej w budynku przy ul. Świętokrzyskiej róg Jasnej, gdzie mieściła się szkoła handlowa Tynelskiego. Tam kilkudziesięcioosobowa grupa polonistów słuchała nie tylko wykładów polonistycznych, ale i filozoficznych. Na wykłady prof. Tatar-kiewicza — estetyka, psychologia uczuć — ścigali chyba także ludzie z miasta i trzeba było zawczasu zająć sobie miejsce, żeby nie stać w tłumie wypełniającym salę.

Wykłady dla studentów filozofii były kameralne. Poza tym brak sekretariatu czy czegoś w rodzaju dziekanatu podziemnego sprawiał, że każdemu profesorowi pod koniec miesiąca wręczało się kopertę z czesnym od całego kompletu; było to dla obu stron krępujące.

Pytanie 2. W uniwersytecie podziemnym w latach 1942–1944 studiował Pan Profesor filozofię pod kierunkiem Tadeusza Kotarbińskiego, Włady-

sława Tatarkiewicza i Marii Ossowskiej, a w latach 1944–1945 (1946?) w UJ pod kierunkiem Romana Ingardena. Którego z tych filozofów postawiłby Pan Profesor na pierwszym miejscu jako wykładowcę i dlaczego?

W podziemnym Uniwersytecie Warszawskim w Warszawie studiowałem od października 1942 do połowy czerwca 1944; w podziemnym UW w tymczasowej siedzibie w Krakowie od pierwszej połowy grudnia 1944 do 17 stycznia 1945. Datę 31 stycznia 1945 r. nosi moja pierwsza legitymacja służbowa jako zastępcy asystenta w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a faktycznie w Uniwersytecie Warszawskim w tymczasowej siedzibie w Krakowie. Jeśli więc za studia uważać okres przed objęciem pierwszej pracy na uniwersytecie, to studiowałem do 30 stycznia 1945. Jeśli zaś liczyć okres do obrony pracy magisterskiej (2 czy 3 stycznia 1946 w Uniwersytecie Warszawskim w Warszawie), to okres moich studiów przedłuża się do końca roku 1945 i obejmuje studia w Uniwersytecie Jagiellońskim — głównie zajęcia prowadzone przez prof. Romana Ingardena, ale również przez prof. Władysława Tatarkiewicza (tylko trudno powiedzieć, czy jako profesora UW w krakowskiej siedzibie, czy też jako prof. UJ). Wreszcie jeżeli okres studiów ma obejmować także studia podyplomowe, tj. odbywane aż do dnia uzyskania stopnia doktora (marzec 1951 r.), to studiowałem aż do tej daty: faktycznie uczęszczałem na zajęcia Tadeusza Kotarbińskiego, na wykłady Tatarkiewicza, póki władze ich nie zawiesiły, i na inne, ale niesystematycznie. W sumie więc filozofię studiowałem w większej dawce, aniżeli by to wynikało z programu studiów filozoficznych, bo np. kurs propedeutyki filozofii — nawiasem mówiąc znakomity — ukończyłem pod kierunkiem prof. Marii Ossowskiej — w ramach polonistyki; także niektóre wykłady prof. Tatarkiewicza: jedno na filozofii, drugie na polonistyce. Przygodnie byłem słuchaczem prof. Janiny Kotarbińskiej (wówczas występującej jako doc. Janina Kamińska) i Henryka Hiża (kilka zajęć). A już pod doktoracie, gdy do Warszawy zjechał Kazimierz Ajdukiewicz, regularnie uczestniczyłem w prowadzonych przezeń konwersatoriach, a przygodnie słuchałem jego wykładów. Jeździłem też jeszcze w latach sześćdziesiątych na konwersatoria, które w UJ prowadził prof. Roman Ingarden.

Zanim odpowiem na pytanie, którego z mych profesorów filozofii stawiam na pierwszym miejscu jako wykładowcę, pragnąłbym wprowadzić rozróżnienie: retoryka wykładu a retoryka seminarium. W tym pierwszym zakresie prym wiede Władysław Tatarkiewicz, mówca wymagający dla rozwinięcia swego talentu — dużej rzeszy słuchaczy. Jego wzorowo skonstruowany wykład, ujmujący pięknem języka, jasny, ciekawy, bogato ilustrowany cytatami z literatury filozoficznej i z prozy literackiej oraz poezji, a przy tym wygłaszany donośnie, z akcentami i przyciskami uwydatniającymi treść, był dla słuchaczy przeżyciem podobnym do tego, które wywołują dzieła sztuki. Nie był natomiast Tatarkiewicz tak błyskotliwy ani urzekający, gdy prowadził seminaria. Pod tym względem prze-

wyższał go Roman Ingarden, sugestywny i pełen pasji polemista, niezwykle subtelnie opisujący doznania intelektualne i emocjonalne — w długich tyradach, coraz bardziej wstrzeliwujących się w cel, w momentach apogeum napięcia wygłaszanych *fortissimo* po niemiecku.

Tadeusz Kotarbiński — z powodu ograniczeń siły głosu, będących następstwem zawodowej dolegliwości strun głosowych, a po części i wskutek monotonnego toku mowy, ukształtowanej nazbyt doskonale, niby tekst pisany — był wykładowcą lepszym dla małego grona niż dla wielkiego audytorium. Toteż bardziej niż wykłady przyciągały jego seminaria, podczas których mistrzowsko rozwijał umiejętność lapidarnego trafiania w sedno problemu i opiekuńczego streszczania tego, co nieudatnie starał się powiedzieć niesprawny dyskutant.

Znowu wartość wykładu Kazimierza Ajdukiewicza polegała na tym, że wraz ze słuchaczami borykał się z trudnościami takiego ujęcia swych wnikliwych myśli, które by go zadowoliło. Wciągał studentów do uczestniczenia w ponawianiu wysiłków, by lepiej wyrazić to, co w poprzednim sformułowaniu nie uzyskało jego aprobaty. W serii kolejnych przybliżeń udostępniał własny proces myślowy, nie ukrywając niezadowolienia z wcześniejszych, odrzuconych prób. Nigdy nie deklamował gotowych wyników, był — rzecz by można — umyślnie chropowaty; dla gładkości sformułowań nie czynił ustępstwa z jego adekwatności i precyzji.

Maria Ossowska z dystansem i — rzecz by można — nieco chłodną wyniosłością bezstronnego arbitra referowała idee i poglądy zwalczających się kierunków filozoficznych, czyniąc z ich konfrontacji narzędzie krytyczne, użyteczne do wykrywania słabości każdego z nich i uwydatniania względności przekonań, zwłaszcza tych pełnych zacierzwienia.

Nauczycieli uniwersyteckich można oceniać nie tylko ze względu na to, czy ich domeną jest wykład czy seminarium, ale i ze względu na rodzaj audytorium, który do nich pasuje. Tatarkiewicz był dla szerokiej publiczności, Ingarden — dla wyznawców różnych specjalności: filozofów, malarzy, pisarzy. Pozostali, Kotarbiński i Ajdukiewicz, uczniowie Kazimierza Twardowskiego, a Maria Ossowska — Tadeusza Kotarbińskiego, uprawiający filozofię w sposób analityczno-opisowy, byli znakomitymi przewodnikami mniej licznych wyspecjalizowanych zespołów.

Pytanie 3. Czy w środowisku logików i filozofów komentowano jakoś — i jak — to, że tacy filozofowie, jak np. Jan Łukasiewicz czy Alfred Tarski, zostali na emigracji? Czy były próby prywatnego lub instytucjonalnego kontaktu z filozofami emigracyjnymi po wojnie.

Trudno mi mówić o tym, co się działo w całym środowisku logików i filozofów. Jak wiadomo, w drugiej połowie wieku bardzo się ono rozrosło, między innymi na skutek nadziei politycznych oraz ideologicznych, które władze wiązały z jego częścią, nazywaną terminem partyjno-militarnym „front filozoficzny”. Jako

„cywil” nie wiedziałem, co się mówiło w dowództwie frontu. Przy mnie moi nauczyciele ani koledzy nigdy nie oceniali negatywnie faktu pozostawiania na emigracji niektórych filozofów. Byłoby to zresztą niezgodne z zasadą tolerancji głoszoną i praktykowaną w szkole lwowsko-warszawskiej. O jednym tylko z kolegów-emigrantów mówiono z dezaprobatą, ale nie dlatego że pozostał na emigracji, lecz dlatego że podczas okupacji był w Warszawie szefem komórki likwidacyjnej jednej ze skrajnych organizacji prawicowych i podpisywał wyroki śmierci, m.in. na Polaków. Natomiast pamiętam, że jeden z naszych filozofów na emigracji zwierzył się swemu przyjacielowi z rozterki, którą przeżywa z tego powodu, iż pozostając z dala od ojczyzny nie dzieli z kolegami ich losu; wówczas — jak mówił — zadaje sobie pytanie, jak by to ocenił ktoś w kraju, kogo uważa za sumienie środowiska; i uspokaja go pewność, że ów ktoś usprawiedliwiałby jego decyzję; chodziło o Tadeusza Kotarbińskiego. Stosunki filozofów w kraju z filozofami na emigracji — z Henrykiem Hiżem (Uniwersytet Pensylwański), Edwardem Poznańskim (Uniwersytet Jerozolimski), Natanem Rottenstreichem (Uniwersytet Jerozolimski), Alfredem Tarskim (Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley) — były serdeczne; Kotarbińscy lub Ajdukiewicz spotykali ich zagranicą, a Hiż, Poznański i Tarski odwiedzali Warszawę. Ja sam spotykałem Poznańskiego i Rottenstreicha za granicą na zebraniach Institut International de Philosophie, a Hiża w Stanach Zjednoczonych i — podobnie jak Tarskiego — w Warszawie.

Były to kontakty prywatne. Za instytucjonalne zaś można je uważać w tym sensie, że Polacy z Polski musieli mieć wtedy paszport służbowy, a odwiedzający Polskę — zaproszenie od uniwersytetu czy PAN.

Pamiętam, że gdy Edward Poznański odwiedził raz Warszawę i na lotnisku powitali go — był prorektorem Uniwersytetu Jerozolimskiego — delegaci Ambasad Izraela, prosząc zarazem, by wziął udział w uroczystości z okazji przypadającego tego dnia żydowskiego Nowego Roku, nasz gość, znany z poczucia humoru, zapytał ich, który to rok (liczba o wiele wyższa od naszej ówczesnej daty), a następnie wykrzyknął: „Mój Boże, jak ten czas szybko leci!”

Pytanie 4. Magisterium uzyskał Pan Profesor na Wydziale Humanistycznym w 1946, a doktorat (Treść i forma dzieła literackiego) napisany pod kierunkiem Kotarbińskiego i Krzyżanowskiego — w 1951 roku, a więc w najczarniejszym okresie reżimu komunistycznego. Na czym polegała opieka — zwłaszcza Kotarbińskiego — nad doktoratem. Czy ingerował on w jego „treść i formę”. Jak to było możliwe, że doktorat o tak «ideologicznie» nacechowanym tytule mógł być obroniony w tym czasie bez ukłonów w stronę ideologii — w treści?

Gdy pisałem mą pracę doktorską pt. *Treść i forma dzieła literackiego* Tadeusz Kotarbiński mieszkał w Łodzi, był rektorem Uniwersytetu Łódzkiego, do Warszawy dojeżdżał raz na tydzień lub raz na dwa tygodnie, spędzał tu pół dnia,

noc i następnego dnia po południu wracał do Łodzi. Przez te dwie połówki dnia wykladał i załatwiał sprawy administracyjne, egzaminował. Nocował w gmachu porektorskim w gabinecie, który w ciągu dnia dzielił z innymi pracownikami Seminarium Filozoficznego II (z tego pokoiku pochodzi biurko i szafa biblioteczna, które stoją teraz w Zakładzie Semiotyki Logicznej). Dopiero w końcowym okresie tych dojazdów otrzymał do spółki ze współlokatorem pokój w domu uniwersyteckim przy ul. Sewerynow 6. Julian Krzyżanowski odbudowywał Pałac Staszica, Korbutianum i Seminarium. Żaden z nich nie miał czasu na nic poza wspomnianymi swymi pracami, choć też żaden z nich nie odmówiłby mi, gdybym prosił o rady czy krytykę. W rezultacie tę wielusetstronicową pracę, na pewno zbyt obszerną, pisałem sam. Pewne fragmenty przedstawiałem na zebraniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, jako zgłoszone przez członka TNW, Juliana Krzyżanowskiego, albo na seminariach prowadzonych przez Tadeusza Kotarbińskiego lub Władysława Tatarkiewicza. Gotowy maszynopis oddałem profesorom Kotarbińskiemu i Krzyżanowskiemu. Nie żądali wprowadzenia zmian i tekst ten stał się podstawą doktoratu. Tadeusz Kotarbiński, swoim zwyczajem, na marginesach zanotował ołówkiem szczegółowe uwagi, każdą z nich opatrując datą i cyferką „T.K.”. Większość dotyczyła spraw raczej drobnych (zapamiętałem dwie uwagi językowe, bo później rozmawialiśmy o tym: Profesor zakwestionował „a mianowicie”, wyczuwając w tym rusycyzm, oraz „przynależy do” jako germanizm. To były ingerencje „w formę”. W treść pracy nikt nie ingerował. Nikt też nie żądał zmian w tekście.

W owych czasach obrona pracy doktorskiej odbywała się bez publiczności. Przewodniczył dziekan Witold Jabłoński, sinolog, człowiek wielkiego poczucia humoru i znany z odwagi cywilnej. W tej sytuacji i w tym gronie nikt nie oczekiwał ukłonów ideologicznych ani nikt nie miał ochoty ich składać, nie mówiąc już o biciu pokłonów.

W samej pracy również nie ma żadnych elementów ideologicznych ani — jeśli wolno mi oceniać mój własny tekst — „ukłonów w stronę ideologii”². Wcale nie uważam, żeby tytuł „Treść i forma dzieła literackiego” był — jak pisze prof. Jacek Jadacki — „tak «ideologicznie» nacechowany”. O charakterze, nie zaś o wartości mej pracy doktorskiej, dają wyobrażenie: streszczenie jej fragmentu opublikowane pod tytułem *Zagadnienie treści i formy dzieła literackiego* w „Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego”, Wyd. I, r. XL, 1947, s. 13-21, a także moje publikacje *Motywy i wątki literackie* w tychże „Sprawozdaniach TNW”, XLII, 1949 czy *Przedmiot przedstawiony w dziele literackim*

² Jedyny mój „ukłon” to albo krótki cytat, albo odsyłacz — nie pamiętam — do rozprawy Stalina (ale czyjego faktycznie autorstwa?) o języku i językoznawstwie, której pewne twierdzenia nadal uważam za słuszne. Wierzę, że w moim *dossier* w archiwum prof. Jadackiego znajduje się informacja bibliograficzna, o którą z mych publikacji chodzi, oraz pośrednie potwierdzenie, że więcej tego rodzaju „ukłonów” nie było.

w „Sprawozdaniach Polskiej Akademii Umiejętności” LII, 5, 1951. Już i z tych publikacji widać, że chodzi o zastosowania semantyki i pragmatyki do analizy abstrakcyjnie pojmowanego tekstu dzieła literackiego. Teoria semiotyczna, będąca podstawą rozważań, jest w mej pracy doktorskiej utrzymana w stylu *Elementów* Kotarbińskiego, a reizm semantyczny nie stanowił z punktu widzenia czynników oficjalnych kamienia obrazy, choć — z drugiej strony — nie cieszył się ich aprobatą ani sympatią. Z kolei aktualnym wrogiem oficjalnej nauki o literaturze był formalizm, który — podobnie jak inne kierunki i poglądy teoretycznoliterackie — został w mej pracy poddany krytyce opartej na analizie pojęciowej. Trzeba wreszcie pamiętać, że *Treść i forma dzieła literackiego* nie doczekała się publikacji; los ten dzieliła z większością ówczesnych prac doktorskich, od których miała mniejsze szanse na druk — już choćby z powodu swych rozmiarów (bodajże 850 stron maszynopisu). Gdyby jednak nawet została wydana, nie przypuszczam, by cenzura chciała z niej coś usunąć; już raczej, być może, upominałaby się o dodanie jakichś cytatów z Marksa–Engelsa–Lenina–Stalina. Lata, w których przygotowywałem doktorat, nie były — notabene, wbrew słowom prof. Jadackiego — „najczarniejszym okresem reżimu komunistycznego”. Pisałem w latach 1946–1950; chyba w połowie 1950 r. tekst był gotów. Natomiast lokomotywa rewolucji marksistowsko-leninowskiej, uruchomiona jesienią 1948 roku, dopiero w roku 1950 osiągnęła zamierzoną moc i szybkość i nie zdążyła dowieźć funkcjonariuszy do mniej ważnych stacyjek.

Pytanie 5. Niektórzy przeciwstawiają sobie postawy dwóch filozofów w okresie powojennym: Tadeusza Kotarbińskiego i Kazimierza Ajdukiewicza. Pierwszy jest symbolem postawy ugodowej względem reżimu komunistycznego, drugi — przeciwnie. Jak Pan Profesor ocenia te sprawy? Jak Pan Profesor ocenia postawę tych, którzy początkowo wysługiwali się władzy, zdobyli dzięki temu pozycję instytucjonalną, a później dokonali zwrotu o 180°? Czy uważa Pan Profesor, że były sposoby większego poszerzenia granic swobody politycznej po wojnie?

W pytaniu 5. dostrzegam trzy pytania: a) o różnicę między postawą Kotarbińskiego a postawą Ajdukiewicza, b) o moją ocenę postępowania tych marksistów-leninistów z okresu stalinizmu, którzy następnie zmienili front, c) o moją opinię w sprawie poszerzenia granic swobody politycznej po wojnie. Jeśli zadane przez prof. Jadackiego po pytaniu (a) dodatkowe pytanie, jak oceniam „te sprawy” uznać za odrębne, to doliczymy się nawet czterech pytań lub pięciu, w zależności od tego, czy „te sprawy” odnoszą się do poglądów ludzi, którzy przeciwstawiają postawę Kotarbińskiego postawie Ajdukiewicza, czy też do różnicy między tymi postawami.

Zacznę odpowiedź od mej deklaracji, iż pragnę wierzyć, że prof. Jadacki nie należy do tych, którzy postawę Kotarbińskiego traktują jako ugodową względem reżimu komunistycznego, w przeciwieństwie do postawy Ajdukiewicza.

Wprawdzie słowo *ugodowy* bywa używane m.in. w znaczeniu «dążący do zakończenia sporu dzięki porozumieniu stron» i wówczas ugodowość ma charakter neutralny pod względem aksjologicznym albo nawet kojarzy się z pozytywną mądrością: „zgoda buduje, niezgoda rujnuje”, z drugiej jednak strony to samo określenie *ugodowy* staje się pejoratywne, gdy występuje w kontekście „ugodowy względem reżimu” (niezależnie od tego, względem jakiego reżimu) i jako człon przeciwstawienia wobec postawy bezkompromisowej; wówczas słowo *ugodowy* nabiera znaczenia «skłonny do [ustępstw i] kompromisu, często dla uzyskania jakichś korzyści»³.

Otóż gdyby w odniesieniu do Tadeusza Kotarbińskiego ktokolwiek użył słowa „ugodowy” w tym pejoratywnym znaczeniu, wywołałoby to mój stanowczy protest. Myślę, że do ferowania takich wyroków skłonni są przede wszystkim ludzie tchórzliwi, którzy — według słów Kotarbińskiego — „merdali językiem” w okresie stalinowskim, a nabrali odwagi dopiero wtedy, gdy ta staniała jako towar zbędny; albo ludzie, co jak „Buchman, człowiek ostrożny, w bitwę się nie mieszał”, czekali na moment, kiedy nie ryzykując będą mogli pobrzękiwać szabelką, przedtem głęboko gdzieś ukrytą, jeśli nie zakupioną dopiero, gdy nastały czasy bezpieczne; albo wreszcie tacy, których — na ich szczęście — ominął okres próby odwagi i charakteru, a obecnie usiłują za cenę deklaracji patriotycznych i bezkompromisowych sądów nabyć zniżkowy bilet wstępu do „pokolenia Kolumbów”.

Tadeusz Kotarbiński dał wiele dowodów swej odwagi i bezkompromisowości, zarówno w pismach, jak w postępowaniu. Nie bez powodu przed wojną musiał się poruszać „z obstawą” po terenie własnego uniwersytetu, podczas okupacji ukrywać poza domem, ostrzeżony, że polska organizacja faszystowska szykuje zamach na jego życie, a po wojnie, w okresie stalinowskim, protestować tak, jak to uczynił w sprawie skazanych w Polsce, więzionych i torturowanych żołnierzy Armii Krajowej i innych działaczy patriotycznych (jako przeciwnik kary śmierci zgodził się podpisać w „Życiu Warszawy” protest przeciw skazaniu na nią małżeństwa Rosenbergów w USA, ale tylko pod warunkiem, że jednocześnie zostanie wydrukowany jego protest przeciw wydawaniu i wykonywaniu wyroków w Polsce na Polaków, przeciwników reżimu; ostatecznie — ponieważ Redakcja nie spełniła tego warunku — wycofał swój protest w sprawie skazania Rosenbergów za szpiegostwo na rzecz Związku Sowieckiego). Z drugiej strony nie taił, że bliskie mu były, jak pisał, „wartości, którym służyć ma socjalizm”⁴, uwaga: „ma służyć”, nie zaś te, którym w praktyce służy, nie strategia ani taktyka polityczna socjalizmu, ani tym bardziej totalitaryzmu komunistycznego wystę-

³ *Słownik języka polskiego*, t. III, PWN, Warszawa 1981, s. 585.

⁴ Tadeusz Kotarbiński, *Wesołe smutki*, wyd. 3, PWN, Warszawa 1966, s. 42.

pującego pod oszukańczym mianem socjalizmu. Powtarzał, że zajmuje postawę „kwakerską” i w miarę możliwości przypisuje ludziom dodatnie intencje. Głosił etykę spolegliwego opiekuna, był pacyfistą. Nie uznawał ataku, dopuszczał obronę konieczną, jednakże maksymalnie oszczędzającą przeciwnika. Nic dziwnego, że ci, w których obronie stawał przed wojną, nie widzieli w nim, doszedłszy do władzy, swego wroga klasowego, reakcjonisty, przed którym trzeba się mieć na baczności, i — z pewnymi wyjątkami — byli skłonni mu wybaczyć, że nie wstąpił do partii komunistycznej i nie tylko nie brał udziału w liturgii stalinowskiej, ale wypowiadał niezależne sądy krytyczne. Traktowali go więc przeważnie jako rycerskiego godnego szacunku przeciwnika.

Gdy Kotarbiński odznaczał się odwagą cywilną, Ajdukiewicz dał dowody również odwagi wojskowej jako dowódca pociągu pancernego podczas I wojny światowej. W odróżnieniu od Kotarbińskiego był autorytatywny, co uzewnętrzniało się w sposobie bycia, w zachowaniu. Budził w otoczeniu respekt. Swą osobowością sprawiał, że jego przeciwnicy uświadamiali sobie własną słabość; a wiadomo, że odczucie lęku niekiedy wywołuje reakcję obronną lub nawet pragnienie zemsty. Nie był też rzecznikiem zasad laickiej ewangelii spolegliwego opiekunstwa ani kwakerskiej postawy wobec bliźnich, a swą krytykę — wprawdzie nie publicznie — formułował nieraz z żołnierską dosadnością. Mimo więc, że mawiał w gronie przyjaciół „nie kiwaj palcem w bucie, jeżeli możesz przy tym złamać nogę”, mimo że był jak najdalszy od szowinizmu i nietolerancji, o czym świadczy choćby to, jaką parę asystentów dobrał sobie przed wojną w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, jednak antagonizował ludzi ze środowiska partyjnego i uchodził w nim za reakcjonistę. Zapewne między innymi wskutek tego powstały pozory, które się mogły przyczynić do całkowicie błędnego przeciwstawienia rzekomej ugodowości Kotarbińskiego i kontrastowej postawy Ajdukiewicza.

b) Przechodzę do odpowiedzi na pytanie, jak oceniam postępowanie tych, którzy w okresie stalinizmu — jak pisze prof. Jadacki *wysługiwali się władzy, zdobyli dzięki temu pozycję instytucjonalną, a następnie dokonali zwrotu o 180°*.

Myślę, że odpowiadający na tak postawione pytanie powinien pamiętać przynajmniej o dwóch rzeczach: że w uogólnieniach czai się błąd (według słów filozofa brytyjskiego) i że metaforyczne a pejoratywne sformułowania *wysługiwanie się władzy i zwrot o 180°*, które dopuszczają niejedną interpretację, skłaniają do wydania oceny potępiającej.

Przed wszystkim należy wziąć pod uwagę, że mamy do czynienia z procesem historycznym: okres mający się stać przedmiotem oceny bynajmniej nie był jednakowy; nie wiadomo też, jaką granicę chronologiczną wytycza słowo *po-czątkowo*.

W roku 1945, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, zapanowała euforia, ludzie zachłysłeni się Polską; w maju wybuchła radość z powodu zakończenia wojny, z powodu zwycięstwa, choć za nim dla Polski kryła się klęska, wtedy jeszcze

na ogół nie dostrzegana. Mało kto zdawał sobie sprawę z następstw Jałty. Z głośników w Krakowie płynęła muzyka Szopena, zakazana w czasie okupacji, i polskie melodie ludowe, a nie jak przedtem wojskowe znienawidzone marsze niemieckie *hajli, hajla* i *Na perskim jarmarku*. Nawet pralnie i restauracje wywieszały u wejścia polskie chorągwie i sprawiały sobie pieczętki z godłem państwowym. Polacy pospół z żołnierzami sowieckimi zrywali z murów niemieckie napisy z nazwami ulic lub instytucji. Ludzie, zwłaszcza z terenów, które nie doświadczyły okupacji sowieckiej i wywózek, patrzyli na wojsko sowieckie jako na aliantów. Pamiętam, że podczas Powstania Warszawskiego w moim oddziale był Achmet, zbiegły z obozu jeńców żołnierz sowiecki, walczył razem z nami przeciwko Niemcom i był przez wszystkich uważany za towarzysza broni. Podobnie dwaj łącznikowi oficerowie sowieccy, spadochroniarze, byli wtedy przez nas traktowani jako sojusznicy; w ich kwaterze przy ul. Złotej niedaleko Towarowej, chroniliśmy się podczas ostrzału i dzielili ich „tuszonką” z puszek i naszymi rodzinami wyniesionymi ze sklepu Braci Pakulskich na rogu Brackiej i Chmielej.

Lata reżimu komunistycznego były zróżnicowane. Powoli i stopniowo, a nie raptownie — wzrastał się terror stalinowski. Zrazu dawał o sobie znać głównie w takich okresach jak referendum „3 x tak”, kiedy UB przeprowadziło masowe aresztowania przewencyjne i zakładało „kotły” w mieszkaniach (mówię o Krakowie; być może gdzie indziej, np. w Bieszczadach, było inaczej). Na ogół jednak trzeba pamiętać, jak bardzo się różnił okres do połowy 1948 r. od lat terroru 1949/1950 do 1955, a ten z kolei od miesięcy, które nadeszły po październiku 1956 r., by wkrótce ustąpić — wraz z opadaniem fali rewolucyjnej — czasom ponownych przymrozków ideologicznych. Jak niepodobne były okresy normalnej beznadziejności „małej stabilizacji” do takich wybuchów jak w Poznaniu i na Wybrzeżu czy przedstawienia *Dziadów* w Warszawie, akcji antysemickich i faktycznego skazywania na banicję w roku 1968.

Zróżnicowana też była rzesza członków PZPR oraz motywy wstępowania do partii w różnych grupach i w różnych epokach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Gdy w 1945 r. Polacy o poglądach lewicowych wstępowali do Polskiej Partii Socjalistycznej, pomni jej tradycji wolnościowych i niepodległościowych (a przez myśl by im nie przeszło, by się zapisać do PPR), nikt ich nie uważał za „kolaborantów”. Później zaś, gdy PPS połączono z PPR, tworząc PZPR, wystąpienie z szeregu tej partii mogło grozić poważnymi konsekwencjami.

Myślę, że trzeba odróżnić z jednej strony takich ludzi, jak np. prof. Pasenkiwicz, którzy przed wojną byli komunistami (z wszelkimi wynikającymi z tego wówczas negatywnymi dla nich skutkami) i pozostali komunistami po wojnie (i nawet swej formacji ideologicznej zawdzięczali *korzyści instytucjonalne*, Pasenkiwicz był bodajże wojewodą) coraz bardziej zresztą dystansując się od działalności politycznej, w miarę jak dostrzegali, że podeptane zostały idee, którym służyli, a z drugiej strony cynicznych karierowiczów, którzy zapisywali się do partii, wyłącznie z myślą o stanowisku i pieniądzu. Nic dziwnego, że ci drudzy obecnie

w pierwszym szeregu ustawiają się przed kamerami telewizyjnymi jako weterani Solidarności czy innych poczynań patriotycznych i wolnościowych.

Z kolei od nich należy odróżnić tych, którzy w roku 1945 ulegli złudzeniu, że po okresie ponizeń i krzywd istotnie mogą się poczuć ludźmi. Ten i ów wracał z armią (sowiecką lub polską) ze Wschodu, gdzie szukał schronienia przed zagładą, nieuchronną we własnym kraju. W tym, że się skwapliwie zapisał do PPR, że czuł się z towarzyszami związany przyjaźnią, że inaczej niż niejeden z nas oceniał działania komunistów, był skłonny je usprawiedliwiać albo nie wierzyć, że wielu z nich ma ręce splamione bratnią krwią — dostrzegam rzeczy zrozumiałe pod względem psychologicznym i socjologicznym i daleki jestem od potępiania za *wysługiwanie się reżimowi komunistycznemu*. Nazwałbym to raczej zapatrzeniem w akceptowane idee i bielmem nie pozwalającym dostrzec ich zbrodniczych skutków, przemieszanych zresztą ze skutkami pozytywnymi. Potrafię też zrozumieć, że komuniści-Żydzi ocknęli się, czy przejrzeni, jedni po stalinowskim procesie lekarzy-Żydów w Związku Sowieckim, a drudzy dopiero w roku 1968, kiedy PZPR wszczęła i przeprowadziła kampanię antysemicką.

Ludzie „z awansu”, którym reżim przyniósł zyski majątkowe i prestiżowe, różnili się w swej ocenie zaszłych zmian od ludzi, których one pozbawiły majątków i stanowisk. Pozytywne nastawienie tych pierwszych nie musiało być oportunistycznym wysługiwaniem się władzy, lecz niekiedy było umotywowane uczuciem wdzięczności.

Jeszcze inną kategorię stanowili młodzi aktywni ludzie, którzy pragnęli rozszerzyć pole swej aktywności nieideologicznej, pozapolitycznej, i w przystąpieniu do Partii widzieli środek do tego celu. Jednostki o słabej osobowości szukały — to jeszcze jedna kategoria — afirmacji w grupie dzierżącej władzę albo dyscypliny zewnętrznej, która zapewni sprawność ich działaniom. Byli też i tacy, którzy kierowali się motywami przyziemnymi: np. sytuacja rodzinna zmuszała ich do rozpaczliwego szukania mieszkania, na inne zaś niż z przydziału (faktycznie partyjnego) nie mieli nadziei. A wreszcie niejeden był karierowiczem, żądnym władzy, zaszczytów, pieniędzy.

Jednych potrafię usprawiedliwić, innych zrozumieć. Zadaję sobie pytanie, czy na *ugodę z reżimem komunistycznym* szedł np. absolwent prawa, który w latach pięćdziesiątych obejmował posadę sędziego lub nawet prokuratora; na ugodę, skoro wtedy lub wkrótce potem wymiar sprawiedliwości stał się narzędziem ucisku stalinowskiego? Albo oficer, który na czele oddziału szedł do urn wyborczych, by jawnie „bez skreśleń” głosować na PZPR. Trudno dać sumaryczną odpowiedź. Natomiast z pogardą się odnoszę do wszelkich spekulantów i „cinkciarzy” ideologicznych i politycznych, niezależnie od tego, jaką nosili wtedy, czy noszą dziś legitymację lub znaczek w klapie.

O tych różnych epokach w ostatnim pięćdziesięcioleciu z okładem i o różnych kategoriach ludzi „wysługujących się reżimowi” staram się — choć to niełatwe — pamiętać, gdy oczekują ode mnie ocen w omawianych tu sprawach. Ale

nie tylko o tym: przestrozę przed sformułowaniem pochopnych sądów czerpię z dwóch wydarzeń z własnego życia.

W roku 1944 na Pradze po wkroczeniu tam armii polskiej i sowieckiej zaczęło wychodzić „Życie Warszawy”. Część miasta położona na lewym brzegu Wisły pozostawała aż do 17 stycznia 1945 r. w rękach niemieckich. Jednego z uczestników tajnych kompletów polonistycznych Powstanie zastało na Pradze. Tam przyjął pracę w redakcji „Życia Warszawy”. Wyobrażam sobie, że dla studenta bodajże trzeciego roku była to ponętna okazja. Z perspektywy doświadczeń powstańczych traktowaliśmy wtedy tę gazetę jako organ wydawany przez drugiego okupanta, niewiele lepszy od „szmatławca”, „Nowego Kuriera Warszawskiego”, dziennika wydawanego przez władze niemieckie rękami polskich kolaborantów. Gdy więc dotarła do mnie wiadomość o owym koledze, i jego uznałem za kolaboranta. Przy pierwszym spotkaniu, chyba jesienią 1945 r., powiedziałem mu, że nie chcę go znać, i dobitnie wyjaśniłem, dlaczego. W mniej więcej rok czy półtora po Powstaniu Warszawskim pewien pan, w wieku moich rodziców, a więc wówczas dwa i pół raza starszy ode mnie, mąż ciotki mojej przyszłej żony, w mojej obecności wypowiedział bardzo oględną uwagę krytyczną o słuszności decyzji, która doprowadziła do wybuchu Powstania Warszawskiego, hekatombi mieszkańców miasta i zrównania go z ziemią (patrzyliśmy z Sadyby na gruzy Warszawy; dochodził odgłos wybuchów przy wysadzaniu spalonych domów). Zareagowałem na tę jego opinię zapalczywym oświadczeniem, że w takim razie zrywam z nim stosunki i ręki mu nie podam. I tak trwało przez wiele lat, niemal do jego śmierci.

Dziś na pewno nie postąpiłbym w ten sposób. Jeżeli nawet tamta pryncypialność, wyrosła na podłożu świeżych wówczas emocji, była niemądra i krzywdząca dla innych, można ją wybaczyć dwudziestolatkowi, a przynajmniej zrozumieć. Trudniej natomiast usprawiedliwić ludzi dojrzałych, gdy zapędzają się w skrajne, jednostronne oceny i bez prawa do obrony skazują oskarżonych na potępienie.

Na część pytania 5. — czy uważam, że były sposoby większego poszerzenia granic swobody politycznej po wojnie — nie potrafię odpowiedzieć. Mówiło się o „finlandyzacji”, ale Polska nie jest Finlandią. Mówiło się, że Czesi w drugiej wojnie światowej ponieśli o wiele mniejsze straty niż Polacy. Ale Polacy nie są Czechami. Myśmy w różnych okresach prowadzili działalność wolnościową różnymi metodami. Była podczas wojny strategia i taktyka wojskowej i cywilnej (konspiracyjna prasa, oświata, sztuka) walki o niepodległość i o wolność. Była po wojnie częściowa i zminimalizowana kontynuacja tamtych działań, a obok tego coraz potężniejszy ruch wyrzekający się przemocy i usiłujący nie wykraczać poza granice prawa. Zapewne gdyby walka z bronią w ręku przetrwała poza koniec lat czterdziestych, naraziłoby to naród na ogromne straty. Gdyby zaś działania legalne lub na poły legalne wystąpiły wcześniej, niż się to stało, zapewne byłyby skazane na niepowodzenie. Gdyby Kościół katolicki w Polsce nie występował jako rzecznik dążeń niepodległościowych i w owym czasie postępowych idei spo-

lecznych i gdyby nie miał tylu zwolenników wśród Polaków, zapewne ruch wolnościowy Solidarności wygasłby szybko. Gdyby papieżem nie został Polak i gdyby była inna ekonomiczna i polityczna sytuacja międzynarodowa, zwłaszcza w sąsiedztwie Polski, wysiłki ideologiczne nie przyniosłyby skutków.

Spółeczeństwo polskie w latach 1939–1945 zdobyło się na niemniejszy wysiłek niż w latach 1980–1990, a mimo to tamten wysiłek zakończył się niepowodzeniem, a ten sukcesem. W sumie więc poza truizmem, że rozważając to pytanie należy brać pod uwagę całokształt warunków, nie potrafię powiedzieć nic więcej.

Pytanie 6. Czy wiadomo coś Panu Profesorowi o tym, żeby w czasie wojny odbywały się jakieś posiedzenia Warszawskiego Towarzystwa Filozoficznego?

„Wiadomo mi” — byłoby to za wiele powiedziane. Mam niejasne wspomnienie, że gdzieś Tadeusz Kotarbiński napisał lub kiedyś powiedział o okupacyjnych zebraniach naukowych. Nic więcej na ten temat nie pamiętam.

Pytanie 7. Czy w okresie 1950–1955 towarzystwo (scil. Polskie Towarzystwo Filozoficzne) działało? Czy Pan Profesor przypomina sobie jakieś dane?

Próbuję zrekonstruować niektóre dane. Przez wiele lat byłem skarbnikiem, a zatem i członkiem Zarządu Głównego PTF. Ale dat nie pamiętam. Nie mogło to być przed rokiem 1951/1952, tj. rokiem, w którym rozpocząłem pracę w Zakładzie Logiki u prof. Kotarbińskiego. Nie pamiętam też, kiedy byłem członkiem Zarządu Oddziału Warszawskiego PTF (przewodniczącym tego Oddziału był wówczas Bolesław Gawecki). Porządnie prowadzone akta PTF sporządzała Janina Aumillerowa jako osoba zajmująca się sekretariatem i administracją Towarzystwa i bardzo mu oddana oraz darząca Tadeusza Kotarbińskiego wielką czcią. Ale jej praca mogła się rozpocząć dopiero po objęciu przez prof. Kotarbińskiego prezesury PAN, gdyż dopiero wtedy odkrył Janinę Aumillerową w redakcji wydawnictw PANowskich i zaprosił do pracy w PTF. Przedtem — czy nie Jerzy Kreczmar zajmował się sprawami administracyjnymi Towarzystwa? Janina Aumillerowa i Jerzy Kreczmar już nie żyją.

W czasie gdy byłem skarbnikiem PTF, jeśli nie wcześniej, odbywały się zebrania naukowe Towarzystwa — odczyty, a po nich dyskusje. Ale czy to było także w latach 1950–1955, nie pamiętam. Może o tych zebraniach wie Henryk Hiż.

Pytanie 8. Czy są referenci PTF, którzy zapadli szczególnie głęboko w pamięć Pana Profesora?

Owszem, ale nie ma tu rewelacji. Byli to Ajdukiewicz, Kotarbiński, Tatar-kiewicz, Ingarden. Pamiętam odczyt Kotarbińskiego o pojęciu metody, o pojęciu metodologii, o klasyfikacji nauk, o prakseologii. Wrył mi się w pamięć odczyt Romana Ingardena o Edmundzie Husserlu, jego nauczycielu, którego rocznica

właśnie przypadła; Ingarden w pewnym momencie wzruszył się do łez. Gdy z kolei ja, pod wrażeniem tego wydarzenia, komentowałem je jako piękny przykład hołdu ucznia wobec pamięci mistrza, Jerzy Konorski, wybitny fizjolog, uczestnik wielu zebrań filozoficznych, sprostował moją interpretację, wyjaśniając, że te łzy to normalny czysto fizjologiczny objaw sklerozy, a nie silnej emocji ani afektu. Po innym odczycie Romana Ingardena wynikł incydent wywołany pytaniem, które podczas dyskusji zadał — wówczas docent — Jerzy Giedymin, dając do poznania w ten bardzo oględny sposób, że nie w pełni podziela opinie prelegenta. Ten zinterpretował to jako atak na swe poglądy przypuszczony przez przedstawiciela „obozu logików” i — drażliwy pod tym względem — odparował przytaczając niemieckie rozróżnienie: profesor zwyczajny mówi część tego, co wie; nadzwyczajny tyle, ile wie; gdy docent... więcej mówi, niż wie.

Spośród prelegentów na zebraniach PTF pamiętam też Mieczysława Wallisa, ujmującego pięknem formy, elegancją wykładu oraz pełnym uniesienia zachwytem wobec wielkich dzieł sztuki, które analizował z semiotycznego punktu widzenia. Często prelegentem był Narcyz Łubnicki. Z grona słuchaczy zaś i dyskutantów pamiętam jako stałych uczestników zebrań Janinę Kotarbińską, Alicję Kadlerównę, Janinę Butkiewiczównę, asystentkę Władysława Witwickiego, którego syn, Tadeusz, często zabierał głos, oraz Jerzego Kreczmara.

Pytanie 9. Jak ogólnie ocenia Pan Profesor działalność PTF. Czy taka organizacja jest w ogóle potrzebna i co jest racją jej bytu? Jeśli źle funkcjonuje, to jak zmienić ten stan rzeczy?

Nie mam wątpliwości, co do tego, że Polskie Towarzystwo Filozoficzne jest organizacją potrzebną. To samo można powtórzyć o wszelkich towarzystwach autentycznie naukowych oraz instytucjach kulturalnych (we właściwym tego słowa znaczeniu), a zwłaszcza o tych, które mają wybitne zasługi i długą historię. Tradycja jest ważnym elementem kultury narodowej.

Rola PTF w życiu naukowym i kulturalnym ulega zmianom pod wpływem różnych czynników w kolejnych okresach dziejów. Dotyczy to zresztą i innych towarzystw naukowych. Nie sposób zająć się tu wszystkimi elementami tego zagadnienia. Nie od rzeczy jednak będzie zwrócić uwagę na takie zjawisko, jak obecnie zauważalna rosnąca inflacja zebrań naukowych oraz imprez kulturalnych i związana z tym ich dewaluacja. Odczuwa się to zwłaszcza w wielkich ośrodkach akademickich. Na prowincji sytuacja jest pod tym względem inna. Tam ludzie bardziej są spragnieni zebrań dyskusyjnych, a mniej mają do nich okazji, toteż rola towarzystw naukowych jest bardziej doniosła, a ich imprezy cieszą się większą frekwencją.

Inna była sytuacja wtedy, gdy istniało jedno towarzystwo filozoficzne, niezbyt duże, a co ważniejsze: mające w Tadeuszu Kotarbińskim, osobowości charmatycznej, swego prezesa, niż teraz, kiedy zebrania o treści filozoficznej są

organizowane — nierzadko w tym samym czasie — przez wyspecjalizowane instytucje zajmujące się poszczególnymi dyscyplinami filozoficznymi: logiką i filozofią nauki, semiotyką, etyką, estetyką, naukoznawstwem itd. Inna też była sytuacja wtedy, gdy w każdym z nielicznych uniwersytetów była jedna katedra filozofii, jeden profesor i jedno prowadzone przezeń seminarium filozoficzne, niż obecnie, kiedy przybyło uniwersytetów, a w nich jest po kilka lub kilkanaście placówek filozoficznych, seminaria zaś prowadzą już nawet asystenci, a uczestniczą w nich początkujący studenci. Każdego więc dnia odbywa się po kilkanaście zebrań dyskusyjnych. W dodatku ludzie są rozleniwieni oglądaniem telewizji, między innymi dyskusji przy okrągłym stole. Konsumenci strawy intelektualnej wolą biernie przysłuchiwać się i przyglądać wymianie słów (a niekiedy myśli), siedząc przed telewizorem we własnym domu, aniżeli fatygować się wyprawą do sali odczytowej. Wraz ze zmianą sposobu spędzania wolnego czasu zanika sztuka konwersacji oraz sztuka dyskusowania. Można się obawiać, że rozpowszechnienie korzystania z Internetu przyczyni się do jeszcze większego ograniczenia roli towarzystw naukowych, a w każdym razie do zmiany ich funkcji.

Z drugiej strony wiadomo, że wszelka moda przemija. Trzydzieści lat temu radia tranzystorowe zawładnęły nami do tego stopnia, że słuchacze wozili je ze sobą wszędzie. Na jedno z zebrań filozoficznych wkroczył spóźniony uczestnik, przybysz z innego miasta. Wraz z nim włąła się do sali konferencyjnej głośna muzyka, wywołując konsternację. On sam, siadając za stołem, rozglądał się wokół, by umiejscowić źródło dźwięków. Gdy swą teczkę położył koło krzesła, okazało się, że — roztargniony — pozostawił w niej włączone radio. Dziś to raczej telefon komórkowy zakłóca zebrania, dając świadectwo wysokiemu statusowi właściciela. Przypuszczalnie jednak minie era fascynacji telefonem komórkowym i funkcja tego pożytecznego narzędzia zostanie sprowadzona do rozsądnych rozmiarów. Podobnie — może osłabnie atrakcyjność telewizji. A wtedy towarzystwa naukowe chyba częściowo odzyskają pole; ale tylko częściowo.

Należy sprzyjać ich przetrwaniu. Widziałbym tu kilka dróg działania. Powinny stanowić forum spotkań przedstawicieli różnych dyscyplin; tej funkcji nie spełniają zbyt liczne seminaria w wyższych uczelniach. Należy przeciwdziałać rozrostowi liczby seminariów ograniczając prawo do ich prowadzenia: niechże tylko pracownikom nauki legitymującym się wysokimi (habilitacja) kwalifikacjami, m.in. formalnymi, wolno będzie je ogłaszać, a nie każdemu, kto pragnąc zminimalizować pracę dydaktyczną ucieka od uciążliwych ćwiczeń, kolokwii i egzaminów. Należy też — za pomocą regulacji prawnych — pozbawić towarzystwa naukowe funkcji pompy ssąco-tłoczącej dotacje na działalność naukową lub często pseudonaukową; wówczas przestaną istnieć te, które swój żywot zawdzięczają głównie dążeniu do osiągnięcia korzyści materialnych, nie zaś aktywności swych autentycznie zainteresowanych członków. Z jednej więc strony ograniczenie konkurencji w postaci tych seminariów uniwersyteckich, które są mało warte pod względem naukowym i dydaktycznym, a z drugiej strony selekcja w obrębie

samych towarzystw naukowych, polegająca na eliminowaniu słabszych — to może sposoby umożliwiające zachowanie przy życiu wartościowych i zasłużonych towarzystw, których rola okazała się tak doniosła, gdy były azylem dla niezależnej myśli, gdzie indziej tępionej lub cenzurowanej.

Obawiam się jednak, że nadzieje na powrót złotego wieku Polskiego Towarzystwa Filozoficznego są — mimo tych środków zaradczych — płonne.

Pytanie 10. Sprawował Pan Profesor — i sprawuje nadal — wiele prestiżowych stanowisk w światowym i polskim ruchu filozoficznym i ogólniej — naukowym. Którą z organizacji, którymi Pan Profesor kierował lub współkierował, uważa Pan Profesor za najpożyteczniejszą? Dlaczego?

Są to organizacje tak różne, że odpowiedź oparta na porównaniu ich roli i porównaniu ich wartości pod względem pożytku wydaje mi się niemożliwa.

a) Zacznę od instytucji międzynarodowych. Institut International de Philosophie to gremium złożone ze stu kilku — jest to limit — członków, filozofów z całego świata, wybieranych spośród kandydatów, z których każdego wysuwają jednomyślnie wszyscy członkowie IIP z jego własnego kraju, nikt natomiast nie może sam się zapisać czy wstąpić do IIP. Moją kandydaturę w roku 1970 wysunął Władysław Tatarkiewicz. Każdą kandydaturę rozpatruje w IIP specjalna Komisja międzynarodowa, powierza napisanie recenzji dwóm członkom z innych niż kandydat krajów, na tej podstawie wspomniana Komisja rekomenduje kandydata walnemu zgromadzeniu albo odradza jego rozpatrywanie, po czym w tajnym głosowaniu ogół członków IIP dokonuje wyboru. IIP co roku odbywa kilkudniowe zebranie naukowe w coraz to innym kraju. Dawniej członkowie z krajów znajdujących się w trudnej sytuacji ekonomicznej otrzymywali częściową pomoc materialną w postaci bezpłatnego zakwaterowania podczas sympozjum. Obecnie IIP musi apelować do swych członków o dobrowolne datki, gdyż dotacje od UNESCO ledwie starczą na pokrycie kosztów wydawnictw IIP — bibliografii filozoficznej (przez wiele lat dane o publikacjach polskich systematycznie przysyłała Izydora Dąmbska) oraz serii wydawniczej, poświęconej różnym działom filozofii współczesnej. Wydawnictwa te i doroczne sympozja naukowe to owoce działalności tej instytucji, jak myślę, pożyteczne. Członkom swym dostarcza ona okazji do nawiązania osobistego kontaktu z filozofami noszącymi znane w świecie nazwiska; czasem sprawia to satysfakcję, a czasem rozczarowuje, ale na ogół jest ciekawe. Byłem członkiem różnych komisji IIP, przez trzy lata wiceprzewodniczącym, następnie przez trzy lata przewodniczącym. Funkcje te są ograniczone statutowo do jednej trzyletniej kadencji. Jako przewodniczący czerpałem satysfakcję ambicjonalną z tego, że kiedyś przede mną godność tę piastował Tadeusz Kotarbiński, a moimi poprzednikami byli (*si licet parva magnis comparare*) Max Black, Georg von Wright, Paul Ricoeur i Alfred J. Ayer. Obecnie jestem jednym z hono-

rowych przewodniczących IIP. Z funkcją tą wiąże się udział w pracach i zebraniach Zarządu IIP.

b) Inny charakter ma International Association for Semiotic Studies. IASS zrzesza kilkadziesiąt krajowych towarzystw semiotycznych z całego świata oraz członków indywidualnych, którzy się do tej organizacji zapiszą. Płaci się w niej składki. Polskie Towarzystwo Semiotyczne jest członkiem IASS od czasu powstania tej organizacji, a z ramienia PTS delegatami do Zarządu są obecnie Leon Koj i ja. IASS od roku 1969, w którym powstała, wydaje czasopismo „Semiotica”; opublikowano dotychczas 126 tomów, każdy złożony z 4 zeszytów. Raz na pięć lat są organizowane kongresy IASS (Mediolan, Wiedeń, Palermo, Perpignan, Berkeley, Guadalajara w Meksyku, Drezno). W okresach między kongresami odbywają się sympozja naukowe w różnych krajach. Ta wielka instytucja jest interesująca ze względu na swój wielodyscyplinowy charakter, a także dzięki temu, że stanowi obszar spotkań badaczy różnych profesji z artystami różnych dziedzin sztuki oraz miejsce zetknięcia różnych kultur: europejskich, amerykańskich, afrykańskich i azjatyckich. Jako przewodniczący IASS w ciągu dwóch pięcioletnich kadencji, a przedtem jej wiceprzewodniczący, starałem się kłaść nacisk na to, co zapowiada nazwa tej instytucji, w której umieściliśmy — członkowie-założyciele IASS — człon „badań semiotycznych”; również obecnie, jako honorowy przewodniczący IASS, który bierze udział w pracach jej ścisłego Zarządu, upominam się o naukowy charakter tego stowarzyszenia.

c) Do IASS jest podobna Fédération Internationale des Sociétés de Philosophie (FISP), w której zarządzie zasiadałem przez piętnaście lat, tj. maksymalny okres przewidziany przez statut. Obecnie do Zarządu został wybrany Ryszard Wójcicki. Tak jak IASS — FISP organizuje światowe kongresy, w tym wypadku — filozoficzne — i na tym polega pożytek z jej działalności. Zrzesza tylko towarzystwa filozoficzne z różnych krajów, nie zaś członków indywidualnych. Członkostwo danego krajowego towarzystwa filozoficznego następuje po jego zgłoszeniu się do FISP i wymaga opłacania składek. Oprócz organizowania kongresów FISP, podobnie jak IASS, patronuje konferencjom i sympozjom międzynarodowym, odbywającym się w okresach między światowymi kongresami. W tych latach, w których przypadają te kongresy, Institut International de Philosophie zwoływał swe doroczne sympozja w tym samym miejscu i tych samych dniach i w ten sposób umożliwiał szerszemu gronu filozofów przysłuchiwanie się swym obradom naukowym.

Przechodzę do uwag o polskich instytucjach naukowych — oprócz Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, gdyż była o nim mowa w poprzednich odpowiedziach. Zachowam przy tym kolejność wyznaczoną moim udziałem w ich pracach, a nie datami ich powstania, zasługami czy miejscem w hierarchii naukowej.

d) Polskie Towarzystwo Semiotyczne w początkowym okresie swego istnienia, który poprzedzał powstanie IASS, odegrało ważną rolę w powołaniu do życia tego stowarzyszenia. W Polsce podczas międzynarodowej konferencji w Ka-

zimierzu nad Wisłą nabrała konkretnych kształtów idea IASS; instytucja ta nie-
dlugo potem odbyła za granicą swe zebranie założycielskie. Inną ważną funkcją
PTS, podobnie jak zrazu nielicznych innych krajowych towarzystw semiotycz-
nych oraz IASS, było integrowanie badań nad różnymi zjawiskami, głównie hu-
manistycznymi (nauki społeczne zaliczam do humanistyki), ale także, choć w mniej-
szej mierze, również biologicznymi, wokół problematyki szeroko rozumianych
znaków, a w związku z tym za pomocą stosowania metod semiotycznych. Rów-
nocześnie następowała — zwłaszcza w Polsce — integracja środowisk naukowych
językoznawców, literaturoznawców, filozofów i logików. Służyły temu i nadal
służą prowadzone przeze mnie od przeszło trzydziestu pięciu lat seminaria i kon-
wersatoria semiotyczne, a następnie założony w 1972 r. Zakład Semiotyki Lo-
gicznej, w którym — wspólnie z kolegami — prowadzimy zajęcia z semiotyki
logicznej, przeznaczone nie tylko dla filozofów, ale od kilku lat również dla stu-
dentów Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych. Multi-
dyscyplinarny oraz interdyscyplinarny charakter ma również mój ogólnopolski
projekt badawczy „Znak–Język–Rzeczywistość”, realizowany dzięki tzw. indy-
widualnemu „grantowi” państwowemu, umożliwiającemu nie tylko wydawanie
serii książek „Biblioteka Myśli Semiotycznej” (dotychczas, tj. do r. 1999, ponad
czterdzieści tomów) oraz „Biblioteka Informacji i Dokumentacji Semiotycznej”
(obejmującej „Polski Biuletyn Semiotyczny” w trzech wersjach językowych i „Syg-
nały Semiotyczne — Streszczenia Prac z Dziedziny Semiotyki”), ale i wydawa-
nie „Studiów Semiotycznych”, organu Polskiego Towarzystwa Semiotycznego,
oraz finansowanie wydatków samego PTS w zakresie działań wspólnych z pro-
jektem „Znak–Język–Rzeczywistość”.

Fakt współdziałania Polskiego Towarzystwa Semiotycznego, Zakładu Se-
miotyki Logicznej UW i projektu badań „Znak–Język–Rzeczywistość”, a obok
tego ich związki z uniwersyteckim instytutem filozoficznym i żywe w naszym
gronie tradycje filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej sprawiły, że semioty-
ka polska rozwija się jako nauki o poznaniu i komunikacji (taką nazwę nosi za-
kres stopni naukowych doktora i doktora habilitowanego), a nie np. jako semioty-
ka literatury lub semiotyka lingwistyczna, jak w niejednym innym kraju. Nurt se-
miotyki literatury i semiotyki kultury osłabł nieco w semiotyce polskiej wraz ze
śmiercią w r. 1991 Stefana Żółkiewskiego, prezesa PTS, po którym przejąłem tę
funkcję, poprzedzoną latami sekretarzowania w PTS od dnia jego założenia.

Godzi się tu przypomnieć zasługi Janiny Aumillerowej — zarówno dla Pol-
skiego Towarzystwa Semiotycznego, jak dla Polskiego Towarzystwa Filozoficz-
nego. Kult, którym otaczała osobę Tadeusza Kotarbińskiego, sprawił, że ludzi
blisko związanych z Profesorem darzyła przyjaźnią, zawsze gotowa ofiarne
wspomagać ich działania. Uczucia przeniosła z ludzi na to, czym się zajmowali.
Toteż sprawy PTF i PTS stały się dla niej ważnymi sprawami osobistymi, które
przeżywała w sposób emocjonalny. Patriotka obu Towarzystw, nie tylko wzoro-
wo prowadziła ich administrację, ale mimo zaawansowanego wieku i złego zdro-

wia oraz częściowego inwalidztwa, codziennie zaciagała wartę w gabinecie po Profesorze, i broniła tego sanktuarium przed zamachami administracji i zakusami profesorów pragnących zająć ów pokój. Każdą taką próbę traktowała jak świętokradztwo i dosłownie — odchorowywała: chwalebny wyjątek, postać zabłąkana w świecie urzędniczej bezduszości.

e) Komitet Etyki w Nauce przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk ma do spełnienia ważną misję. Badania naukowe wywołują niejednen problem etyczny, np. czy wolno przeprowadzać próbę leków na ludziach, czy wolno uśmiercać lub zadawać cierpienia zwierzętom doświadczalnym, czy wolno prowadzić badania, których wyniki mogą służyć zagładzie ludzi i zwierząt, czy wolno w skrajnych wypadkach stosować eutanazję itd. Z drugiej strony wiele problemów etycznych wiąże się z ocenianiem prac naukowych, jego bezstronnością, rzeczowością, bezkompromisowością, sumiennnością itd. Na osobną uwagę zasługują problemy, które wysuwa gotowa już publikacja, np. czy nie dopuszczono się plagiatu, czy lojalnie podano informacje o źródłach itd. W każdym niemal wypadku mamy do czynienia ze splotem zagadnień medycznych, biologicznych, prawnych, filozoficznych, socjologicznych, psychologicznych i innych, toteż w gronie Komitetu zasiadają przedstawiciele różnych dziedzin i dyscyplin naukowych. Mnie w tym gronie — poza reprezentowaniem od roku 1992 dyscypliny, którą uprawiam — przypadła z trzykrotnego wyboru rola wiceprzewodniczącego (od r. 1994).

f) Komitet Nauk Filozoficznych — osobiście wolałbym zamiast „nauk” słowo „dyscyplin” w jego nazwie — jest jednym z komitetów naukowych Polskiej Akademii Nauk i ma spełniać zadania określone w ramowym statucie uchwalonym przez PAN, zwłaszcza zaś jego rolą ma być koordynowanie i opiniowanie działań w zakresie dyscyplin objętych mianem „filozofia”. Są to niewątpliwie zadania ważne. Do tego jednak, by mogły być wykonywane, trzeba wyraźnego określenia granic oddzielających kompetencje Komitetu od analogicznych kompetencji innych instytucji i gremiów naukowych, wyposażenia komitetów naukowych w uprawnienia do egzekwowania swych kompetencji oraz pieniądze. Niestety zaś, mimo że w tym Komitecie zasiadam od wielu lat, a w latach 1993–1995 byłem z wyboru jego przewodniczącym, żadne z tych oczekiwań nie zostało spełnione. Skutkiem tego niemożliwe się okazały tego rodzaju konkretne, nie zaś pozorne działania w ramach Komitetu, których by nie wykonywały inne placówki naukowe. Toteż uznałem, że moje dalsze przewodniczenie nie przyniesie żadnego pożytku (poza ubocznym skutkiem, a nie pożytkiem: zadowoleniem mojej własnej próżności), i zrezygnowałem z tej funkcji, gdy pierwsza kadencja dobiegła końca, odmawiając kandydowania do tej — godności raczej niż funkcji, w drugiej kadencji; pozostaję natomiast członkiem Komitetu, ale się uchylam od zasiadania w jego Prezydium.

g) Fundacja Popierania Nauki Kasy im. Józefa Mianowskiego, jest instytucją o pięknych tradycjach. W okresie okupacji była dostarczycielką bardzo taniej książki naukowej: własnymi wydawnictwami na najwyższym poziomie zasilala

biblioteki pracowników nauki, studentów i w ogóle inteligencji. Jej ówczesna działalność bardziej zasługuje na miano charytatywnej niż handlowej. Znowu po zakończeniu działań wojennych, dom pracy twórczej w Świdrze „Mądralin”, własność Kasy, stał się przystanią dla piszących prace doktorskie czy kończących redakcję swych książek. Ludzie mego pokolenia, a także nieliczni już ze starszych roczników, a liczniejsi z młodszych — sentymentem darzą „Mądralin”, obrosły legendą i anegdotą związaną z wielkimi postaciami nauki polskiej. Toteż gdy pod koniec 1994 r. przewodniczący Kasy, prof. Findeisen, zaproponował mi kandydowanie do funkcji wiceprzewodniczącego, przystałem na to bez wahania i od początku roku 1995 staram się spełniać te obowiązki. Obecnie Kasa — poza wydawaniem rocznika „Nauka Polska — Jej Potrzeby, Organizacja i Rozwój” ma do spełnienia ważną misję nie tylko naukową, ale szerzej kulturową, mianowicie funduje stypendia naukowe dla uczonych z innych krajów. Rośnie liczba ubiegających się o możliwość kilkumiesięcznej pracy w polskiej placówce naukowej. Wśród kandydatów przeważają Białorusini, Ukraińcy i Rosjanie. Niejeden już dawniej zajmował się lub przynajmniej interesował tematami polskimi. Są też stypendyści Polacy ze Wschodu, ale nie tylko badający historię, literaturę, kulturę czy sztukę polską, lecz również fizycy, chemicy, matematycy, technicy i biologowie, dzięki stypendium Kasy nawiązują kontakt z uczonymi polskimi oraz przyjaźń z kolegami i bardzo często starają się uzyskać ponowne zaproszenie do Polski.

h) Moje związki z Towarzystwem Naukowym Warszawskim datują się od początku mojej działalności autorskiej — pierwszą mą publikację naukową wydało w roku 1947 właśnie TNW. Członkiem Towarzystwa zostałem w roku 1984, tj. w roku wznowienia jego działalności uniemożliwionej mu w latach poprzednich (m.in. TNW utraciło swą własność, Pałac Staszica). Towarzystwo — związane z nazwiskiem Stanisława Staszica i mające chlubną historię i piękne tradycje — kontynuuje wydawanie swojego „Rocznika Towarzystwa Naukowego Warszawskiego”, odbywa w swych kilku wydziałach zebrania naukowe wypełnione wykładami i dyskusjami, organizuje wykłady im. Stanisława Staszica, występuje z inicjatywami w sprawach naukowych, np. przygotowania opracowań naukowych lub wydania prac naukowych, i w miarę swych zasobów wspomaga finansowo uczonych — nie tylko swych członków — pragnących wziąć udział w kongresach zagranicznych. Od niedawna (1998 r.) zostałem wybrany do Prezydium TNW; w czasie choroby prezesa TNW sprawowałem funkcję wiceprzewodniczącego.

i) Wypada wspomnieć o jeszcze jednej instytucji. Wprawdzie charakterem różni się ona od poprzednio wymienionych, gdyż należy do kategorii centralnych urzędów państwowych, ale spełnia ważną i pożyteczną funkcję w nauce. Chodzi o Centralną Komisję do Spraw Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych. To pochodzące z wyboru grono ponad dwustu profesorów (mających tytuł profesora, a nie jedynie stanowisko profesora tej czy innej uczelni lub instytutu) z całej Polski, re-

prezentujących wszystkie dziedziny nauki i wiele dyscyplin naukowych, spełnia następujące zadania: ogłasza listę dziedzin nauki i dyscyplin naukowych, które mogą stanowić zakres doktoratu lub habilitacji (np. jedną z tych dyscyplin są wspomniane wyżej nauki o poznaniu i komunikacji), przyznaje, ogranicza, zawiesza lub odbiera radom wydziału lub radom naukowym prawo do nadawania stopni naukowych, zatwierdza stopnie doktora habilitowanego (lub odmawia ich zatwierdzenia) nadane przez rady wydziału lub rady naukowe, na ich wnioszek występuje do Prezydenta RP o nadanie kandydatowi naukowego tytułu profesora, przeprowadza analizę i dokonuje wrywkowej oceny odbytych przewodów doktorskich. Każdą ze swych uchwał Centralna Komisja opiera na recenzjach, a przyjmuje w tajnym głosowaniu: naprzód w sekcji danej dziedziny nauki, a następnie w Prezydium CK. Czynności te przyczyniają się do przeciwdziałania obniżaniu się poziomu jakościowego prac naukowych. CK rozpoczęła swą działalność w nowej formie, tj. na podstawie nowej ustawy z 1990 r. — w roku 1991. Od początku byłem z wyboru przewodniczącym Komisji w ciągu dwóch trzyletnich kadencji. Na podstawie zgromadzonych w tej pracy doświadczeń uważam tę instytucję za zdecydowanie potrzebną.

j) Pominę w tym omówieniu Sekcję Autorów Dziel Naukowych Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, której przewodniczę w ciągu drugiej już kadencji; mimo że sekcja ta zrzesza uczonych, charakter ZAiKSu sprawia, że omawianie jego działalności nie mieści się w zakresie zadanego mi pytania 10.

Mam nadzieję, że ten przegląd obejmujący dziesięć instytucji naukowych upewni każdego, iż charakter każdej z nich, odmienny od charakteru pozostałych, utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, uporządkowanie ich według relacji „bardziej pożyteczny niż”. „Bardziej pożyteczny” — pod jakim względem, do czego, dla kogo? Każda z nich jest potrzebna, każda z innego powodu.

Pytanie 11. Jaki filozof — spośród tych, z którymi zetknął się Pan Profesor osobiście — zrobił na Panu Profesorze największe wrażenie?

Domyślam się, że profesorowi Jadackiemu nie chodziło o to, jaki filozof wywarł na mnie największe wrażenie, lecz o to, który je wywarł. Nawet jednak po takim zinterpretowaniu pytania 11. niestety nie potrafię na nie odpowiedzieć, gdyż nie wiem, czy chodzi o największe wrażenie dodatnie, czy ujemne (jedne i drugie są teraz błędnie nazywane „szkiem”, choć to miano winno przysługiwać tylko nieprzyjemnym wstrząsom), ani nie wiem, pod jakim względem miałbym swoje wrażenia porównywać. Względy te mogą być różne; np. (proszę wybaczyć żart) prof. Jadacki pod koniec roku akademickiego (nie wiem, czy nadal to czyni) dawał studentom swojej grupy do wypełnienia ankietę zawierającą m.in. pytanie, jak oceniają powierzchowność jego osoby oraz ubiór. Gdybym miał brać pod uwagę tak szerokie *spectrum* względów, to niewątpliwie silne wrażenie wywarła na mnie Miss Anscombe (tak nazywana, mimo że jest przykładną żoną i matką

kilkorga dzieci), gdy w King's College w Cambridge wygłaszała swój wykład na konferencji międzynarodowej... paląc fajkę — pod tabliczką z napisem „*No smoking*”. Silne wrażenie wywarło na mnie także wspomniane już zdarzenie, gdy z teczki roztargnionego uczestnika sympozjum, który wkroczył na salę już w toku zebrania, dobywały się głośne dźwięki muzyki radiowej. Miałabym porównywać siłę wrażenia wzrokowo-węchowego z siłą słuchowo-wzrokowego? Nie przysięgałbym, czy któreś z nich było największe (przepraszam, teraz się mówi „topowe”), bo na starość pamięć człowieka zawodzi: może w przeszłości ukrywa się jeszcze większe? A w dodatku w miarę jak się kumulują doświadczenia, wrażliwość tępieje i wrażenia stają się coraz słabsze.

Ale żarty na bok. Nie jestem amatorem konkursów piękności, wybierania kobiety roku, kucharza stulecia, najlepszego dania. Z zasady nie biorę udziału w tego rodzaju (jak się to teraz nazywa) „rankingach”. Przeciwnie, przestrzegam innych, żeby nie porównywali obiektów niejednorodnych, a jeśli już chcą lub muszą to robić, zachęcam, by wyjaśniali, pod jakim względem porównują.

Warszawa, listopad 1999 r.